

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK II WIELKOPOLSKA MAJ 1932 NR. 5 (8)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

WYCZÓŁKOWSKI I WIELKOPOLSKA



LEON WYCZÓŁKOWSKI

Celem uczczenia 80-tej rocznicy urodzin *Leona Wyczółkowskiego* zamieszkałego w Poznaniu, powstał w marcu 1932 r. Komitet Wystawy Jubileuszowej Leona Wyczółkowskiego, organizowanej w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu pod *protektoratem Wojewody Poznańskiego Rogera Raczyńskiego.*

Otwarcie Wystawy Jubileuszowej Leona Wyczółkowskiego w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu nastąpiło w niedzielę 10. kwietnia 1932 o g. 12 w południe.

Dla uczczenia Jubilata wyrzeźbił *Władysław Marcinkowski* plakietę. Z prawej jej strony znajduje się podpis Leona Wyczółkowskiego.

Pod redakcją Dr. Stefana Papée ukazała się „Księga Pamiątkowa" ku uczczeniu 80-tej rocznicy Leona Wyczółkowskiego, przy bezinteresownej pomocy jej współpracowników: *Ks. Szczęsnego Dettloffa, A. J. Polczyńskiego, A. Kleczkowskiego, A. M. Swinarskiego, N. Pajzderskiego, St. Wasylewskiego, J. Sztaudyngera, L. Puget'a, J. Kollera, J. Bocheńskiego, Wł. Lama, J. Kuglina, J. Mrozińskiego, J. Kollera, Z. Zaleskiego, J. T. Mareckiej* — oraz dzięki zasiłkom Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego tudzież Magistratu Stołeczn. Miasta Poznania i radcy Ludw. Cichowicza, Księga wydaną została w Rolniczej Drukarni i Księgarni Nakładowej w Poznaniu pod zarządem Jana Kuglina.

Z Księgi Pamiątkowej cytujemy fragment z artykułu *Zygmunta Zaleskiego* p. t. *„Cykl Poznański Leona Wyczółkowskiego"*.

...Nie wiem, ale sądzę, że to było pozdrowienie dla miasta Poznania. Wielkie umysły i serca — świadomie czy nieświadomie — odczuwają więzy, które je łączą z miejscem, gdzie namiot swój ustawiły, wiedzą o niepisanym nigdzie ani nie wypowiedzianym nakazie poznania tej duszy zbiorowej, z którą się stykają. Pod takim nakazem napisał Żeromski, przyjmując „prawo" wybrzeża pomorskiego, swój przecudny „Wiatr od morza", i tem też może uczuciem kierowany tworzył Wyczółkowski, przyjmując prawo miejskie poznańskie, swój poznański cykl obrazów... Są to 1. Ratusz, 2. Sala Odrodzenia w Ratuszu, 3. Sala Złota w Ratuszu, 4. „Kominek" w ratuszu poznańskim, 5. Odwach na Starym Rynku, 6. Pałac Działyńskich, 7. Katarzynki, 8. Ostrów Tumski, 9. Kościół św. Jana, 10. Kościół Bożego Ciała...

Z tejże samej „Księgi Pamiątkowej" wyjmujemy jeszcze fragment z artykułu *Jerzego Kollera:*

...Równo przed dziesięciu laty Leon Wyczółkowski oddał wszystkie, posiadane przez siebie, zbiory do Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu.

Wielkość podobnej ofiary wystąpi tem wyraźniej, jeżeli przy jej ocenie uwzględni się trzy okoliczności, nadające jej jeszcze inną, wyższą ponad materjalną, wartość.

Leon Wyczółkowski, artysta-malarz — jak to jest w Polsce, nieomal pozbawioną wyjątków regułą — nie był nigdy i nie jest dziś człowiekiem bogatym, ani tem mniej miljonerem, chyba w czasie powojennej inflacji markowej. Zbiory swe okupywał ofiarami, jakich nie pojmie człowiek, nabywający je za pieniądze, posiadane poddostatkiem. Wyczółkowski nieraz opłacał te dywany, sztychy, porcelany, swojemi pracami, stojącemi, jako wartość choćby tylko pieniężna, wyżej od tego, co kupował.

Dla Wyczółkowskiego malarza, te rzeczy stanowiły atmosferę jego pracowni, jego — że tak się wyrazić można — umiłowany warsztat.

Wreszcie, kto zna dobrze twórczość Leona Wyczółkowskiego, ten zdaje sobie sprawę, ile z tych zabytków zrosło się z nią, ile ich odnajdziemy uwiecznionych w płótnach, czy grafice artysty....

Pod temi kątami widziany dar Leona Wyczółkowskiego dla Muzeum Wielkopolskiego będzie czemś innem, aniżeli zapis miljonera, co „na łożu śmierci" oddaje swą kolekcję społeczeństwu, potroszę z lęku, by nie uległa rozproszeniu, potrosze dlatego, że jej ze sobą do grobu wziąć nie może, coby zresztą niekiedy najchętniej uczynił, gdyby tylko mógł...

Niepodobna tu wyliczyć choćby pokrótce wszystkiego, co wielki artysta nagromadził w ciągu lat kilkudziesięciu swego kolekcjonerstwa...

Społeczeństwo wielkopolskie doceniało ten wspaniały dar i ofiarę artysty, który tak ochotnie rozstał się ze swemi umiłowanemi skarbami, aby tylko wzbogacić niemi Muzeum Wielkopolskie. Wydział Krajowy poznański wysłał do artysty pismo dziękczynne, i aby związać go tem silniej z dzielnicą wielkopolską ofiarował Leonowi Wyczółkowskiemu kawał ziemi w Gościeradzu. Nie chodziło tu oczywiście o ekwiwalent, jakim w stosunku do wartości zbiorów ofiarowanych Muzeum Wielkopolskiemu t. zw. „resztówka" w Gościeradzu być nie mogła. Tak ten dar rozumiał i Wydział Krajowy i Muzeum Wielkopolskie, widzące w Leonie Wyczółkowskim po dzień dzisiejszy swego najhojniejszego donatora."

— — — — — — — — — — — — —

I jeszcze jeden (z artykułu *Nikodema Pajzderskiego*) z pięknej i wzruszającej „Księgi Pamiątkowej" przytaczamy tutaj fragment:

Wyczółkowski — — — „osiadłszy w Wielkopolsce, przysparza bez przerwy dorobku artystycznego, związanego z tą ziemią, jakby się radując nadtem, że została ona po latach długiej niewoli odzyskana dla ciężko doświadczonej Ojczyzny".

— — — — — — — — — — — — —

Wielkiemu Artyście — Leonowi Wyczółkowskiemu — Prawdziwemu Przyjacielowi naszych Wielkich Dolin składa wyrazy najgłębszej czci

Redakcja Wici Wielkopolskich.

PROF. KORAB:

LEON WYCZÓŁKOWSKI

Prawdziwy duch twórczy wyrasta, wykwita w królewski kwiat kształtu i barwy w zaciszu, zdala od hałaśliwej reklamy, w głębokiej zadumie i kontemplacji. Takim właśnie najbardziej zapatrzonym w siebie, żywotnym twórcą, zamkniętym w szczęśliwem zaciszu swej pracowni jest prof. Leon Wyczółkowski, obchodzący w dniu 11. kwietnia br. 80-ciolecie życia.

Urodzony w roku 1852, próbuje pierwszych swych kroków w warszawskiej Szkole Rysunków pod okiem Gersona (1869—75), następnie pracuje w Monachium u Wagnera za dyrektury Piloty'ego, a wreszcie kończy swe studja w Krakowie w pracowni Matejki (1876—9). Już wówczas daje się poznać jako młody, a bardzo obiecujący malarz płótnami: „Maryna Mniszchówna" i „Śmierć Aliny". Wbrew jednak pokładanym w nim nadziejom Matejki, Wyczółkowskiego pociągają raczej szersze horyzonty i przestrzenie niż ciasna pracownia i martwe akcesorja historycznego malarstwa. Mimo przywiązania i pietyzmu do swego profesora żądza wrażeń i konieczność szukania nowej własnej rzeczywistości plastycznej pchają go wciąż naprzód. W r. 1880 udaje się do Lwowa, gdzie spotyka się z utalentowanym malarzem Chmielowskim, późniejszym bratem Albertem; później do Warszawy, a wreszcie „zaszywa się" na Kresach Wschodnich, by tam zdala od zgiełku, wśród rozległych stepów Ukrainy, przy różowych wschodach i fioletowych zachodach słońca Wołynia, konkretyzować swoje niezrównane impresje kolorystyczne. W r. 1885 obejmuje katedrę profesorską w nowo zorganizowanej przez J. Fałata Krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych. Po wojnie światowej, którą przeżywa jako żołnierz - malarz, przebywa wszerz i wdłuż Polskę, tworząc swoje czarujące arcydzieła graficzne, aż wreszcie osiada na stałe w Poznańskiem, gdzie dotąd przebywa.

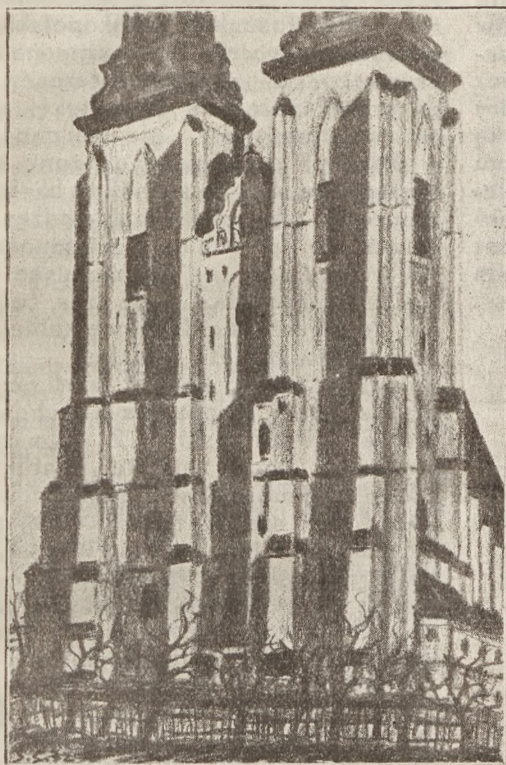
Wyczółkowski jest malarzem z „krwi i kości". W jego twórczości artystycznej odróżnić należy zasadnicze dwa etapy. W pierwszym podziwiamy go jako niedoścignionego kolorystę, w drugim jako czarującego rysownika a zwłaszcza grafika o sławie nietylko polskiej.

Jako uczeń Matejki, chociaż nie idzie wprawdzie za wskazaniami malarstwa historycznego, zawsze jednak pozostaje wierny snom o potężnej Polsce swego mistrza, które brzmiało „Polska" realizując je na swój sposób. Jak u innych jemu współczesnych malarzy, talent Wyczółkowskiego dąży ku zrozumieniu i szukaniu prawdziwego piękna w naturze. Nie wzoruje się w tem na nikim. Zarówno wielkim jest mu Matejko, jak zrozumiałym Manet i Monet. Próbuje różnych technik malarskich, ale na raz obranej drodze kroczy śmiało i trwale, aż wreszcie dobija do poziomu nieczęsto osięgalnego. Główny punkt ciężkości tegoż okresu przypada na jego 10-cioletni pobyt na Ukrainie i Wołyniu, gdzie skrystalizowała się jego indywidualność i nabrała niespożytej mocy do niezmordowanej, wprost zaciekłej a zawsze młodzieńczo - entuzjastycznej pracy. Świetne płótna z tego czasu jak: „Orka", „Rybak", „Buraki", olśniewają wspaniałą gamą światła i słońca i budzą podziw do wielkopolskiej swobody, z jaką Wyczółkowski włada paletą, z jaką ujmuje życie „in flagranti", by wycisnąć z niego świeżą, nową, „par excellence" malarską, a tak wysoce artystyczną treść. Wyczółkowski wbrew nadziejom Matejki nie został malarzem historycznym, ale malarzem natury. Jest impresjonistą, ale impresjonistą własnego pokroju, zupełnie odmiennym od kierunku, któremu hołdowali jemu współcześni jak: Podkowiński czy Pankiewicz. Impresjonizm nie był mu z góry narzucony jako nowinka malarska Paryża; do niego doszedł on sam kierowany nieomylnie intuicją swego wielkiego talentu.

Tematowo bliskim pejsażu jest kwiat, który — acz wycięty z niego, tworzy jego integralną część. Nie dziw więc, że człowiek takich upodobań jak Wyczółkowski, często treścią swoich koncepcyj malarskich czynił kwiaty. Miłość do wszystkiego, co posiada żywą barwę i żywy kształt i tutaj wkłada mu do ręki czarujący pędzel lub pastel. Kwiaty, które maluje, zdają się być na obrazie czemś więcej niż są i mogłyby być w rzeczywistości swego bytu. Tak mistrzowskie jest jego odczucie i — że tak powiem — wtargnięcie w tajniki przyrody! Ze wszystkich kwiatów najbardziej rozpowszechnione i znane z reprodukcji są jego „Kaczeńce", subtelna symfonja złocisto - żółtych tonów. Niekiedy łączy artysta kwiaty z pejsażem i człowiekiem, jak to widzimy na pastelowym kartonie „Husarza". Całe panneau działa wtedy jak niezwykła, niezapomniana dekoracja.

Trzecim ulubionym tematem „wyczóła" jest portret, który szczególnie zajmuje go podczas pobytu w Krakowie. „Charakter" osób portretowanych, gra wyrazów twarzy, są głęboko psychologicznie zaobserwowane i podchwycone. Portreciście nie chodzi tu o fotograficzne podobieństwo, ale o wniknięcie do głębi

WSPOMNIENIE GNIEZNA



STEFAN SZMAJ

Jakże cię miałem pokochać miasto, jak zrozumieć,
kiedy mój uśmiech zamierał przy twej kamiennej zadumie.
Tysiąc bezmała lat ciążyło na twym grzbiecie
gdy jam się od siedemnastu dopiero wałęsał po świecie
Wolałem bąki zbijać, przyznaję to dziś w skrusze,
niż w mrocznych stawach kościołów zapadać się w twą duszę.
Wolałem słowa rozmieniać na srebrne dziewczęce uśmiechy,
niż biedz przez otchłań przeszłości w pogoń za księciem Lechem.
Nad Stwosza płytą grobową, w starszej niż bór bazylice
o życia mówiły mi blaskach nie archanielskie źrenice.
A jeśli o co prosiłem klęcząc przed trumną Wojciecha,
to tylko, by srogi belfer zemsty nademną zaniechał.
W malutkiej skrzynce trumienki zalutowany, zamknięty,
jednak mnie czasem małego wysłuchał wielki święty.
Lecz nawet święty, choć wielki, przecież nie wszystko może,
więc szedłem troski swe topić w głębszem od bólu jeziorze.
Niełatwa to sprawa utopić wszystkie serdeczne żale — —
od moich smutków topionych jeziora ściemniały fale.
Im bardziej fale czernieją ich srebro w szmaragdach gaśnie,
tem w sercu mojem o dziwo coraz błękitniej i jaśniej.
Aż serce w płomień uderzy — na chwilę lecz wszystko zrozumie —
— o czemuż wciąż świecić nie może jak lampka oliwna w tumie?
Ale już noc. Tum zamknięty. Zamknięty w modłach i w sobie,
zwalił się na kolana, w niebo wzniósł ręce obie.
Potężnych ramion wieżyce co grożą i błogosławią
tum w gwiazd paciorki zaplątał, różaniec nad miastem odmawia. —

Marjan Turwid.

---

duszy odtwarzanej osoby i przelania na płótno względnie karton tego wyrazu wewnętrznego, którego żadna fotografja — choćby najlepsza, oddać nie potrafi. Śmiała, żywa linja i silne kontrasty kolorystyczne — oto najwybitniejsze cechy tych dzieł, które mają pełne prawo przejść do historji polskiego portretu.

I tu wyliczyć trzeba również nieomal wszystkie autoportrety, które Wyczółkowski maluje olejno, pastelą lub akwarelą, w rozmaitem oświetleniu i w najróżniejszych układach.

Drugi etap twórczości mistrza przypada na lata powojenne.

Technika pracy zmienia się zasadniczo. Paletę olejną zamienia „Wyczół" na akwarelę a w rysunku zdąża ku grafice. I tu zawsze młodzieńczy, mimo już ciężaru lat, talent Wyczółkowskiego, pełen siły i energji w zdobywaniu coraz nowych tajemnic piękna, święci wspaniałe triumfy. Grafika staje się zwolna treścią jego twórczego życia. Tematem do niej jest wszystko: pejsaż, portret, architektura, martwa natura; jej zaś forma jak najwszechstronniejsza, bo obejmująca fluoroforty, akwaforty, akwatinty i litografje jedno- i wielobarwne liczy się. A obok niej podziwiać musimy setki akwarelowych studjów architektury, nieomylnych w rysunku i zdecydowanych w barwie. Dalej wprawiają nas w zachwyt takie np. „Dęby rogalińskie", malowane wyłącznie tuszem z podkreśleniem jedynie niektórych miejsc kredką; podziwiamy majestat tajemniczego wnętrza puszczy, jej wiekową powagę, podziwiamy te wszystkie „Zachody słońca" i „Poranki", a przedewszystkiem liczne teki z niezliczonemi planszami litograficznemi z zaklętym w kształt czarym architektury naszych miast. Naszemu sercu przedewszystkiem najmilsze są i zawsze będą cykle litografji, odtwarzające piękno architektury wielkopolskiej, głównie Poznania z jego majestatycznym renesansowym ratuszem na czele. Całość tworu Wyczółkowskiego to wspaniała karta twórczości, olśniewającej siłą wyrazu, poetycznego nastroju oraz maestrją w użyciu najprostszych a tem samem najtrudniejszych środków malarskich. Swój świetny warsztat malarski łączy artysta z zadziwiającą łatwością, z poezją i muzyką, umie przeniknąć przez wzrok do słuchu, przez mowę kształtu i barw natury trafić do głębi ludzkiego serca.

Mimo podeszłego już wieku mistrz pracuje dotąd radośnie, tworzy jeszcze dziś bez wytchnienia. Z zawsze świeżej, ożywczej krynicy podniet i natchnień czerpie pokój, pogodę myśli i ten bezprzykładny, wrodzony sobie, nieujarzmiony entuzjazm do pracy artystycznej.

Poznań, miasto ludzi uczciwej, zawziętej pracy, rade jest i bardzo dumne z tego, że w jego to właśnie murach gości na stałe i tworzy ten niezmordowany wielki mistrz polskiej sztuki.

Bronisław Szczebrzyc:

WEYSSENHOFF I WIELKOPOLSZCZYZNA

Józef Weyssenhoff, jeden z najbardziej rasowych prozaików polskich posiada w swej bogatej twórczości literackiej pewne istotne momenty, które nietylko wyodrębniają go jako pisarza od innych. ale sprawiają, że powieściopisarz ten potrafi w specjalny, swoisty i sobie właściwy sposób przemówić do psychy wielkopolskiej, potrafi silny — jak prawie nikt inny — znaleźć w niej oddźwięk. Czemu to należy przypisać? Otóż przedewszystkiem temu, że Weyssenhoff, jako pisarz o mentalności czysto zachodniej, wniósł do literatury polskiej nowe pierwiastki i nowe elementy formalne, daleko odbiegające od dotychczasowych

kanonów powieściowych Sienkiewicza czy Żeromskiego. Bo chociaż styl i język tych ostatnich, jest i będzie kulturalnie najszczytniejszem objawieniem się genjuszu łacińskiego w Słowiańszczyźnie, — to jednak ich treść zasadnicza twórczości pozostanie wyłącznie polska, bo kategorje myślenia są czysto polskie. O Weyssenhoffie tego powiedzieć nie można, jak również nie można powiedzieć, by kategorje jego myślenia zupełnie polskie nie były. Weyssenhoff jako twórca jest najbardziej rasowym pisarzem polskim, treść jego utworów jest najbardziej polską, ale sama kategorja myślowa, sam kąt widzenia, cały skalpel myślowy, z jakim podchodzi do sprawy polskiej i życia polskiego, jest jeśli rzec można: zachodnio-europejski.

Zasadniczą nowością Weyssenhoffa, jaką wprowadził do literatury naszej (obok oryginalnych także motywów powieściowych) jest ten specjalny „modus creandi" czy „scribendi", typ pisania i twórczości, który jest wypływem psychy każdego wielkiego pisarza o mentalności więcej zachodniej niż wschodniej, raczej galickiej niż słowiańskiej. Obok głębokiego, ciętego w języku i wnikliwego krytycyzmu Anatola France'a, posiada autor „Sobola i Panny", jego styl lekki, płynny, jedyny i nieomylny. Jest mistrzem w wyszukiwaniu najdoskonalszego, najwłaściwszego wyrazu słowa, w którem brak miejsca na liryczną tegoż rozlewność. Sam zresztą o tem wie najlepiej kiedy pisze: „Moim ideałem stylu jest prostota..., która jest wysokim i trudnym stopniem wysłowienia, do którego dochodzi się po usunięciu tłumu wyrazów niepotrzebnych. Sądzę, że każda myśl ma swą formę wysłowienia najlepszą, ważącą się gdzieś w przestworzach świadomości, a może podświadomości pisarza-artysty".*)

Otóż ta prostota i trzeźwość stylu, ten sposób wysłowienia najwłaściwszy, ten język wytworny, jasny a pełen siły, jest tym czynnikiem, który nam Wielkopolanom, niecierpiącym mazgajstwa nawet słownego, szczególnie przypada do smaku i który sprawia, że Weyssenhoff należy u nas do najbardziej popularnych i chętnie czytywanych autorów.

Lecz nietylko te względy i zalety formalne weyssenhoffego pióra czynią z niego pisarza popularnego we Wielkopolsce. Przez jeden ze swych ostatnich utworów autor „Sobola i Panny" jeszcze silniej zespolił się duchowo ze swą liczną rzeszą czytelniczą na Kresach Zachodnich. Jako autor wielkopolskiej powieści pt.: „Jan bez ziemi" daje Weyssenhoff szeroki a barwny obraz życia Wielkopolski na pewnych tego życia odcinkach, zarówno wsi jak i miasta Poznania. — Na kanwie przebojów miłosnych Jana Skumina, zrujnowanego przez wojnę i optację na rzecz Polski litewskiego arystokraty, (który w dowód wdzięczności za staropolską gościnę bałamuci swemu dalekiemu krewnemu i dobroczyńcy Radomickiemu żonę), — przesuwa Weyssenhoff cały zespół świetnie i wprost z życia wielkopolskiego kreowanych



Józef Weyssenhoff

postaci, maluje z bajeczną intuicją i psycho-logicznem znastwem charakter ziemian wielkopolskich, ich zajęcia, upodobania, sposób myślenia, pracę i kulturę.

Z głębokiem zrozumieniem wnika również w powojenną moralność Wielkopolski, która pod jego badawczem spojrzeniem krytyka zda się przynajmniej z początku nie ostawać w zupełności. Jan Skumin, ten „Jan bez ziemi" z Kresów, na pierwszy rzut oka wydaje się o wiele moralniejszym od Werci Radomickiej, żony p. Ambrożego, która zaczyna śnić swój karmazynowy sen o miłości. Snem i zadurzeniem bowiem jest jej nieprawa miłość ku Skuminowi, z której się też niebawem wyleczy po bolesnych przejściach tragedji rodzinnej, by na nowo znaleźć swą wiarę i ostoję w przebaczeniu męża, który swem rozstrzeliwaniem się na wszystkie fronty w pracy społecznej i gospodarczej, zapomina, że ma żonę w domu. Ze spraw małżeńskich porusza tu Weyssenhoff mimochodem rzecz dla stosunków wielkopolskich charakterystyczną. Mężczyzna ma tu zawsze czas na „zrobienie interesów", na pracę społeczną i politykę, na zabawę i „sesyjki", — ale jeśli chodzi o stosunek do kobiety, do żony, to traktuje się je — na sposób za bardzo niemiecki jako maszyny do rodzenia dzieci czy uprawiania przyjemności. Na wszystko w tej Wielkopolsce — wg. Weyssenhoffa — jest czas, tylko nie na zajęcie się duchowe kobietą. A przecież kobieta tyle jest — podobno — warta, ile jest wart mężczyzna, który ją posiada i duchowo urabia. (Podfilipski.) Z tego zaniedbania rodzą się te konflikty z katolicką moralnością, szczególniej wśród tzw. sfer wyższych. — Bilans moralności w tym utworze Weyssenhoffa ratuje śliczny typ, rozchukanego trochę po „akademicku" ale bardzo sympatycznego dziewczęcia wielkopolskiego, Dosi Tolibowskiej; w niej też ostatecznie moralność Wielkopolski wychodzi zwycięsko. Typy męskie z wyjątkiem Ambrożego Radomickiego, — raczej negatywne.

Za to z entuzjazmem, pełnym gorących słów uznania spogląda Weyssenhoff na kulturę i pracę Wielkopolski. Samo miasto Poznań przedstawia w pięknym, literackim opisie, nie jako z wierzchu złotem i szykiem błyszczącą stolicę, ale jako miasto pracy pilnej, wytrwałej a spokojnej, — jako miasto, kóre ostatecznie może gwarantować za czystość i estetykę swoich przedmieści. Wysoka kultura Wielkopolski materjalna i umysłowa znalazła w tej książce Weyssenhoffa, pisarza, któremu przecież nigdy byleco, a zwłaszcza przeciętność i średniość zaimponować nie potrafiły, — swego wybitnego narratora i prozaicznego piewcę. W tym także specjalnym ustosunkowaniu się autora do Wielkopolski przychylnem i serdecznem, należy szukać wpływu Weyssenhoffa na rzesze czytelników wielkopolskiego regjonu.

*) J. Weyssenhoff: Mój Pamiętnik Liter.

SEWERYN ZEHNER:

WENECJA, RZYM, PARYŻ

I INNE OSOBLIWOŚCI... WIELKOPOLSKIE

Mamy w bogatym skarbcu polańskich nazw miejscowych zgoła europejskie firmy. Powiadają, że Francuzi są szczęśliwi, bo posiadają u siebie wszystko: morze, góry, słońce, wino i stolicę Europy. Ty nadwarciański Chwaliszewiaku, elegancie z Mosiny, któremu Helcia z Gądek kazała odgadnąć swe karmelkowe imię... nac — nie zazdrość Francuzom. Nie pozwolił ci Bóg zejść z uroczą włoszką do gondoli, nie dał ci pieniędzy nawet na odpust jubileuszowy do Rzymu, ukarał cię koniecznością patrzenia na kolonjalne piękności w gorszem wydaniu lokalnem — dał Ci za to nazwę. I to dobre! Lepszy rydz niż nic. Sprawiedliwości stało się zadość!

Dziurawe czółno rybackie zastąpi ci wzupełności gondolę, tum gnieźnieński bazylikę Piotrową, przywiązana Marysia lekką Paryżankę. —

Jedźmy więc! Bilet tani. Wenecja kościelna wieś (zaszczyt nielada) — pod Gnieznem! Nawet bez stacji kolejowej, ale Wyspiański o niej wspomina. Osada znana już w XIV. w. Drugą Wenecję zeszpecono potwornie mianem kobyły, dziś nazywa się Kobylinem.

Gorszy jest Rzym, bo sam należy do parafji Kołdrąb. Bieda z Rzymami w Polsce: karczmy tak zwykle oznaczano jakby na przekorę Bogu. Zapijano tam obficie i bawiono się swawolnie jak dziś w prawdziwym Rzymie!

Paryżów znamy kilka w Polsce. Ów wszakże w parafji juncewskiej zwał się pierwotnie Parzyszem. Pychą snać grzeszyli Parzyszanie, skoro przezwali siebie Paryżanami! Oby im tego proboszcz nie przebaczył. Czy nie ma racji Zegadłowicz, piętnując obłudę braci Wielkopolan? A może oni jeno naśladowali tych Paryżan... z pod Lipna i Ciechanowa... samorzutnie, bez presji listów pasterskich. Wyjaśniłby to może nam bliżej St. Wasylewski, archiwista pierwszorzędny, tylko w ramach i w duchu feljetonu, bo inaczej nie da rady z mistrzem Kozierowskim i zachmurzy czoło prof. Ułaszyna. (Pigmaliona z Gontyny trzeba pochwalić to się zadowoli oceną cudzą mniej złośliwą.)

Dużo czytamy o tajemniczych Indjach. Pada często słowo Bombaj! Aleź i egzotyczne nazwy w Wielkopolsce posiadamy. Bombaj to pole na Nowemmieście; Kozierowski nie umie nam nazwy wyjaśnić, prawi tylko, że zna przydomek Bambaj.

Chceszli do mandżurskiego Charbina pojechać? Jeśli wyruszysz do Powidza po rozum, otrzesz się po drodze o Charbin rodzimy. Nasz Charbin, dawniej Charbino, Charubino to poprostu Cherubino czyli Cherubin. Zwykłe to więc imię chrześcijańskie jak Maciej, Daniel czy Grzegorz. Swawolna gęba ludu psie figle nam płata i stroi polsko-chrześcijański słownik w ponętne piórka wschodnie.

Do Berlina drogi dziś paszport. Dawniej był tańszy, dawniej kiedy mieliśmy jeszcze własny, polski Berlin (tamten jest słowiański), parafja Siedlimowo. Zgodnie ze starym zwyczajem językowym zwano go Berlino, także Barlino. Dziś wieś ta brzmi łagodniej, zdrobniale — Berlinek.

Słusznie, poco się pysznić i rywalizować z pruską stolicą! Starczy Berlinek.

Jakież stąd wnioski? Jeden, że wyrazy te w różnych językach są tylko zewnętrznie identyczne, pochodzą zaś z różnych pierwiastków. Tu należą nasze Wenecja, Paryż, Bombaj, Charbin. Nie mają one nic wspólnego z językiem romańskim czy innym. Geneza drugich jak Rzym i Paryż (stary) może być dość zagadkowa, czyżby to istotnie przybysze? Spór może się toczyć o Berlin, tym więcej, że tu i tam siedzieli kiedyś Słowianie. Niemiecki Berlin nazywają Górnołużyczanie Barlinem, a nasz siedlimowski Berlinek także dawniej tak zwano. Podobieństwo charakterystyczne, naprowadzające na wspólny pierwiastek.

W każdym wypadku wnioski ciekawe, jeszcze efektowniejsze niż imiona złej i dobrej wróżby Wasylewskiego. Ostrożności jeno trzeba i cierpliwości w dociekaniu prawdy. Niebezpiecznie, gdy się niemi zajmie poeta i lingwista w jednej osobie. Gorzej, gdyby takie Rzymy, Paryże i Wenecje wziął pod lupę stuprocentowy poeta à la Zegadłowicz. Prysłaby przedwcześnie zagadka: To pycha, pycha „Chwaliszewców".

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

KONFESJA ŚW. WOJCIECHA

(Z cyklu: „Gniezno i Ziemia Gnieźnieńska")

Czterech postaci ramię podtrzymuje trumnę:
rycerz — niech każdy przed nim drży wróg albo kacerz,
w lewicy brzeszczot ma, na piersi ryngraf, pancerz,
choć ukląkł pod ciężarem, czoło podniósł dumne.

Ten obok to mieszczanin: Boner czy Wierzynek,
coś z humanisty i coś z rajcy. Dziś w kościele
ręce rozłożył, dumań w oczach płonie wiele,
o Polce myśli, pusty został w dali rynek.

Kiedy na postać księdza patrzę, to odrazu
proboszcza widzę swego w mej parafji starej,
jak klęczy rozmodlony u Marji obrazu.

Niczem te trzy postacie jednak, bo ten zgięty w trosce
chłopek, ten symbol pracy, ten kmieć pełen wiary
to ojciec mój żyjący w jakiejś cichej wiosce.

MARJAN PATECKI:

„WSPOMINKI ŻYCIOWE"*)

W Wielkopolsce przed pół wiekiem — Nastroje po r. 1863 — Bismark — „Kulturkampf"
Kaźń więzienna ks. kardynała Ledóchowskiego

Zdaję sobie dokładnie sprawę z wydarzeń, jakie miały miejsce przed laty 56, a nawet sięgam pamięcią jeszcze cokolwiek dalej wstecz, chociaż już nie tak wyraźnie, do tych chwil, gdy rozpoczynał się najgroźniejszy okres naszej niewoli pod Prusakiem.

Nie rozwiała się jeszcze w zapomnieniu pamięć niedawnej katastrofy roku 1863. Mówiono o niej często i gorąco, jak gdyby wydarzyła się w dniu wczorajszym. Nic dziwnego. Przecież to z miasta mego rodzinnego, Ostrzeszowa, przez niedaleką granicę poszło tylu najlepszych, najdzielniejszych, najpatrjotyczniej usposobionych w bój krwawy, tylu z nich przypieczętowało krwią serdeczną swą miłość gorącą, kilku zaginęło bez wieści. Powracanie w myślach i rozmowach do tych, którzy już nigdy wrócić nie mieli pod dach rodzinny, było dla osieroconych krewnych i znajomych jedyną osłodą życia.

Z tych niejako „wymienianek zadusznych" słabe już tylko zachowały się urywki w pamięci, natomiast o wiele wyraźniej rysuje się okoliczność inna, błaha napozór, która walnie przyczyniała się do tego, że pamięć powstania 1863 r. odświeżała się ustawicznie.

Każdy kataryniarz-kaleka, a kręciło się takich pseudo-artystów ulicznych bardzo wielu, podawał się za powstańca i umiał na poczekaniu

*) Zaczynając druk „Wspominek życiowych" Marjana Pateckiego zasłużonego nauczyciela-emeryta z okresu niewoli oraz z czasów organizowania polskiego szkolnictwa powszechnego, — pragniemy dać obraz żywo odmalowanych zjawisk, na którego tle, wyraźniej i jaśniej zarysują się liczne momenty Wielkopolski dzisiejszej Red.

opowiadać wstrząsające epizody z przebiegu bitew pod Suchodniowem, Grochowiskami, Małogoszczą i tylu, tylu innych. Jak tam rzeczywiście było z ich porywem patrjotycznym, niemniej z wiarogodnością ich opowiadań, trudno przesądzać. Za jednego „czeskiego", tak nazywano wówczas w tych stronach monetę dziesięcio-fenygową, można się było dowoli nasłuchać o heroicznych czynach i chwalebnej śmierci naszych bohaterów. Niezapomniane chwile dla ciekawego, pięcioletniego chłopaka.

Poza sprawą powstania oddziaływała w stopniu o wiele silniejszym na wrażliwy umysł dziecka inna jeszcze sprawa. W domu mym rodzinnym dawało się odczuć jakieś poważne zaniepokojenie. Ze zasłyszanych rozmów, smutkiem zaprawionych narzekań, z wykrzykników, zrodzonych z uczucia bólu i rozpaczy, wyczuwałem, że na głowy mych najbliższych nadciąga jakaś nieznana mi straszliwa burza, jakieś nieuniknione nieszczęście, jakiś potwór apokaliptyczny, szczerzący już zęby, aby zniszczyć nas, zgnieść, pożreć zupełnie. Często powtarzane słowo Bismark kazało się domyśleć, że to on tym potworem, stworzonym przez moją wyobraźnię, a czyhającym na naszą zgubę. O! Jak zacząłem go nienawidzieć w mem dziecięcem sercu. Chciałem się o nim coś więcej dowiedzieć, ale na moje pytania odbierałem stereotypowe odpowiedzi: dowiesz się, gdy urośniesz. Jednakże tak długo nie trzeba było czekać, bo niedługo już potem bieg wydarzeń wyjaśnił wszystko dostatecznie.

Raptowny rozrost potęgi Prus, które w niebywale krótkim czasie z państwa średniego wyrosły na państwo o sile mocarstwowej, zaniepokoił w najwyższej mierze społeczeństwo, mam na myśli sfery mieszczańskie miasta Ostrzeszowa. W przeciągu lat sześciu trzy wojny zwycięskie, wrogowie rzuceni na kolana, drobniejsze księstwa niemieckie wtroczone gwałtem w rydwan Prus. Na skutek takiego powodzenia pęcznieje niepomiernie pycha pruska. Jakże to naopak poszły wszystkie najgorętsze życzenia społeczeństwa, wyczekującego nie zwycięstwa, ale upokorzenia, powalenia zupełnego, klęski dotkliwej znienawidzonego zaborcy. Nie było rady. Trzeba było przyjąć, co Bóg dał, i nie ustawać w modłach o wyzwolenie.

Tymczasem zaś coraz to większy lęk i niepokój nurtował serca. A nuż, mówiono, rozwścieczony i rozzuchwalony do ostateczności Bismark nową sprowokuje wojnę? z kim? — Z Rosją, jako czwartym swym sąsiadem. Padłyby sobie wówczas dwa wilki drapieżne w objęcia, kąsając się wzajemnie. Niechby się wreszcie w zaciekłości tak poszarpały, żeby z nich kudły i cielsko całemi płatami opadało, lecz cóż, kiedy na wojnie wkońcu ktoś zwyciężyć musi i ktoś być zwyciężonym. A my ani za tym, ani za owym, bo tak jeden, jak i drugi wróg nasz nieubłagany, nienawistny, krwiożerczy, bo ani jeden, ani drugi Polski nie wskrzesi, tylko jeszcze bardziej ją pognębi. O, Boże! — Boże! Zmiłuj się nad nami.

Komunikacja pocztowa odbywała się wówczas jeszcze w tych stronach za pomocą ciężkich na żółto pomalowanych dyliżansów pocztowych. Siedzący na koźle pocztyljon oznajmiał swój przyjazd przeciągłem trąbieniem. Jeżeli czasem zdarzyło się, że trąbka zagrała odmienniej, aniżeli zazwyczaj, jeżeli sygnał u stóp potężnej baszty Kazimierzowskiego zamku, trzymającej już od 500 lat straż nad miastem, a także i u granic państwa polskiego, zadźwięczał złowieszczo, jeżeli wstrząsnął do głębi słuchających, że aż ciarki brały, wystarczyło, aby popłoch rzucić w umysły. Wiezie, mówiono, nieszczęsną nowinę, pewniuśko nowa rozgorzała wojna.

Okazało się wreszcie, że przeczucia, jakie od dawna niepokoiły społeczeństwo, bynajmniej nie były złudne. Wojna wybuchła istotnie, nie orężna wprawdzie, ale nie mniej zaciekła, wybuchła walka duchów, protestantyzmu z katolicyzmem, prusactwa z polskością. To zmaganie się duchów nazwali prusacy sami: „Kulturkampf" tj. walką o oświatę i postęp. Faryzeusze, obłudnicy! To, co rozpętali, nie było postępem, ale przeciwnie najjaskrawszem zaprzeczeniem jakiegokolwiekbądźpostępu, najskrajniejszą wstecznością, barbarzyństwem, było to zastosowaniem zasad bolszewickich, budzących dzisiaj wstręt i odrazę całego świata, już przed nieomal 60 laty.

Przypadek zrządził, że niektóre przejawy kulturkampfu obserwowałem z bliska własnemi oczami.

Dzień Matki Boskiej Gromnicznej (2. lutego) roku 1876 odegrał w mem życiu rolę bardzo ważną. Nie dlatego, że obchodziliśmy w to święto imieniny osoby bardzo bliskiej, ale dlatego, że byłem bezpośrednim świadkiem rozmów, prowadzonych przez zebrane towarzystwo, które to rozmowy w konsekwencji rozjaśniły niepomiernie mój umysł.

O czem rozmawiano? Nazajutrz tj. 3. lutego 1876 kończyła się kaźń więzienna ks. arcybiskupa Mieczysława Ledóchowskiego (wówczas już kardynała) w Ostrowie. Z tego więc powodu zamierzono w Ostrowie urządzić olbrzymią manifestację, na którą przybyć miały tłumy ludu, mieszczan, duchowieństwa, posłów i panów ze sfer najwyższych. Miało być reprezentowane całe Poznańskie, Pomorze, Śląsk, a nawet zagranica. Wszyscy pragnęli złożyć ukochanemu Arcypasterzowi wyrazy najgłębszego hołdu, czci, wierności, posłuszeństwa. Mieli wreszcie założyć uroczysty protest przeciw niesłychanym gwałtom pruskim. Takim miał być przebieg uroczystości w ogólnym zarysie.

Prawie wszyscy obecni oświadczyli gotowość, że ze względu na dogodną komunikację do pobliskiego Ostrowa, pociągi kursowały już od kilku miesięcy, wezmą w uroczystości udział.

Dla małego, sześcioletniego brzdąca nie wszystko było zrozumiałem, aczkolwiek dawałem pilne baczenie na każde słowo. Odczuwałem tylko, że dzień jutrzejszy posiadać będzie niezwykłe znaczenie, a druga rzecz, która nie ulegała żadnej wątpliwości, była ta, że mnie nikt do Ostrowa nie zabierze i będzie trzeba siedzieć samemu w domu. Arcysmutna perspektywa.

W tem nadszedł nowy gość, zacny i wielce szanowany wikarjusz ks. Józef Szenic. Wiadomem było, że ks. Szenic komunikuje się z ks. Edmundem Radziwiłłem, wikarjuszem w Ostrowie, a bratem księcia Ferdynanda Radziwiłła z niedalekiego Antonina. Wysłuchawszy relacji co do postanowień na dzień jutrzejszy, ks. Szenic powiedział: Taka owacja była przewidziana oczywiście, ale od wczoraj plany się pokrzyżowały kompletnie. C. d. n.

Teodor Tałuna:

POWLOKĘ SIĘ W BEZGRANIC POLE...

Powlokę się w bezgranic pole
Stolistnym powojem biodra opaszę
Koroną liścieni czoło okolę
Umaczam usta w rozchwieji żyt.

W kołysie fal pól gędźbą piennych zdrojów
Rozszumy traw wichurą żądź zagaszę
W rozkwieciu mlecza pól wietrznych zawojów
Legnę szaleństw rozkosznych syt.

Nie będę sam —
Bo ty zawsze o tej godzinie
Po kwietniej hasasz tańcząc równinie
A oczy twe jakoby słońca
Patrzą na mnie bez końca... bez końca...
W bezgranic szemrzącej daliźnie. —
Gdy chłodną posoką zachód bryźnie
W draperji mgieł. gdzieś nocą nikną
Zostaje sam...

LISTY Z REGJONÓW

Kronika Poznańska

W „Pamiętniku" Aleksandra Świętochowskiego (nr. 17 Wiad. Liter.) czytamy: „Niewola w trzech zaborach popsuła charaktery Polaków, ale w żadnym tak dalece jak w tym, który uchodził za ich opiekuna i dobroczyńcę. Odczuwamy to jeszcze dziś w Polsce niepodległej z postępowania małopolskich urzędników. Królestwo starło z siebie rdzę rosyjską, Poznańskie okazało się dzielnicą największej energji państwowej i kulturalnej (podkreślenie nasze), Galicja zdradza ciągle skutki austrjackiej gangreny". Rozpoczynam dzisiejszą kronikę słowami nestora pisarzy polskich, niepospolitego i wnikliwego znawcy polskich stosunków społecznych.

Jak blado brzmią przy tym soliście głosy takich sobie różnych trąb i trąbek, bodaj nawet jękliwych klarnetów — pewnych panów, którzy nie tworzą wprawdzie spółki, są jednak z bardzo, oj bardzo ograniczoną odpowiedzialnością.

Łatwo wyobrazić sobie coby się działo po tej cytacji, jak i po poprzedniej kronice mojej w pewnem efemerydalnem piśmie „literackiem", gdyby ono nie było naprawdę — efemerydą. Posypałyby się znowu dalekie od kołtuństwa „zarzuty" co do separatyzmu, dzielnicowości, z pewnością znalazłoby się także przyczynę do gromienia naszego „materjalizmu" i t. d. „Zarzutami" temi na chwilę zajmę uwagę czytelników.

Pomówiono nas o separatyzm; mało tego, przeczulony autor donośnym i wystraszonym głosem wołał: „gdzie prokurator?" Dlaczego nie wglądnie w nasze postępowanie. Prokurator jednak nie wglądnął. Widać, że znacznie lepiej zna się na sprawach kulturalnych niż panowie kombinatorzy z „Dwu — miesięcznika literackiego".

Wręcz śmieszny jest skierowany przeciw nam zarzut uprawiania dzielnicowości Przypomina mi to zresztą znaną opowieść o złodzieju, który ścigany przez policję na ludnej ulicy wrzeszczał: „trzymajcie złodzieja!" W ten sam sposób panowie Baliccy et consortes starali się chytrze pomieszać pojęcia. Muszę więc ab ovo. Jak świat światem, w każdej państwowej całości, która z natury rzeczy jest sztuczną, dadzą się wyodrębnić charakterystyczne dla poszczególnych okolic kraju właściwości kulturalne. Pielęgnowanie tych właściwości jest celem dzisiejszego regjonalizmu, celem, który ma swoje wysokie racje państwowe, bo człowiek więzami kultury złączony ze swą ziemią, nie pozwoli sobie tak łatwo jej wydrzeć.

Dlaczego więc używają niektórzy słowa dzielnicowość, zamiast regjonalizm? Odpowiem: dla niewybrednej polemiki, dla kultywowania zwalczanego kołtuństwa.

Dziwna rzecz, jak rozindycza słowo „gospodarz" i „gość". Tymczasem przypominamy sobie powien ckliwy wierszyk niewiadomego autorstwa, zamieszczony w „Dwutygodniku Liter.": „Przyszedłem kosić nienawiść i wyorywać perz"; przepraszam, kto przyszedł? Ano, gość w dom, Bóg w dom — powiedział gospodarz domu.

Najśmieszniej przedstawia się „zarzut" wielkopolskiego „materjalizmu". Gdzie go już wnikliwi krytycy nie widzą; znalazł się pewien optymista, który z zazdrością popatrzył na olbrzymie gaże otrzymywane przez nas za współpracownictwo w „Wiciach". Szanowny optymisto, a może pożyczysz mi kilka groszy na wysłanie mojej „kroniki" do drukarni? Bo nasz „materjalizm" opiera się na tem, że w jednej i tej samej drukarni pismo drukujemy, i co dziwne dla was, płacimy za druk, sami natomiast nawet na korespondencję redakcyjną z własnej kieszeni czerpiemy.

— — — — — — — — — — —

W numerze 20 Kultury Stefan Papée w artykule „Pretensje Poznania do Zegadłowicza" napisał pod adresem beskidzkiego świątkarza sporo słów gorzkiej prawdy. W obozie Emilencji aż się zakotłowało. Pierwszego wypchnięto w szranki p. St. W. Balickiego, który w „liście do Redakcji" (Kultury numer 21) napisał...": „artykuł p. Stef. Papée, omawiający „Pretensje Poznania do Zegadłowicza" a zawierający szereg niezgodnych z prawdą lub tendencyjnie naświetlonych szczegółów, mających pognębić Zegadłowicza i obniżyć wartość i znaczenie jego działalności w Wielkopolsce (podkreśl. nasze) trzeba będzie wkrótce przedstawić we właściwem i prawdziwem świetle, uwzględniając bogate archiwum „dowodów rzeczowych"...

Ciekawiśmy bardzo tych „dowodów rzeczowych". Coś nam się jednak zdaje, że mimo wrodzone spryciarstwo p. St W. Balicki „dowodów rzeczowych" przeciwko zarzutom p. Papéego wykombinow ć nie zdoła.

— — — — — — — — — — —

Później jego Emilencja osobiście odezwał się w sprawie „Pretensyj Poznania" (Wiadomości Liter. nr. 18) w te słowa:.. „Co do artykułu p. Papéego — niewiele mam w tej chwili do powiedzenia. Znam jego historję. Jest brzydka..."

Hm — krótko, ale zupełnie nie przekonywająco.

— — — — — — — — — — —

Po tem wszystkiem Zegadłowicz opuścił Poznań i osiadł na swojem w Gorzeniu Górnym. Czy zabrał „redaktora" Dwutyg. Liter. ze sobą nie wiemy. A dobrzeby zrobił. Przydałby mu się chłopak na „folwarku" bo to i usłużne i mocne w „cepach". —

— — — — — — — — — — —

W pewnej dużej księgarni poznańskiej pyszni się w oknach sławne już dzisiaj „dzieło" O. Pirożyńskiego: Co czytać? Czy dla tego dzieła nie można lepszego miejsca znaleźć i lepszego otoczenia?

Janusz Deresiewicz.

Niemoralna „Łuczniczka"

Z BYDGOSZCZY LIST DRUGI.

Bydgoszcz, w maju.

Mamy w Bydgoszczy zmartwienie. Zupełnie zresztą niespodziewane. I to właśnie na temat, który Czytelników „Wici Wielkop." może interesować. Chodzi o „kulturę" tę w cudzysłowie.

Mianowicie „Dziennik Bydgoski", który w ostatnich czasach szczęśliwie więcej miejsca poświęca zagadnieniom kulturalnym, poruszył rzecz charakterystyczną. Wszczął się bój o „Łuczniczkę". Kto zna Bydgoszcz, choćby z pocztówki widokowej, musiał zwrócić uwagę na tę rzeźbę naprawdę wartościową. Artystycznie oczywiście. Stoi sobie przy Placu Teatralnym i zachwyca oczy tych, którzy umieją patrzeć na dzieła sztuki. Ale niestety nie wszyscy to umieją I ci właśnie, w których głowach wszelka obrzydliwość i plugastwo urządziły sobie siedlisko, wysunęli projekt zesłania nikomu nie wadzącej „Łuczniczki" na przedmiejskie śluzy Powód? Wiadomo: zagrożona moralność. To już jest perwersja plus skondensowane kołtuństwo. Czytelnicy „Dziennika" zdecydowanie naogół przeciwstawiają się obrazoburczym bigotom I to jest w porządku. Ale nie jest w porządku, że wogóle taka kwestja mogła powstać. I dlatego: biedna Bydgoszcz.

Biedna jeszcze z innego powodu. Przy „Łuczniczce" sterczy sobie na niewątpliwą chwałę a społeczności na niedwuznaczny pożytek w miarę wyniosły gmach Teatru. I ten też poniektórych w oczy kłuje. Powód? Wiadomo: niemoralność. I jeszcze: zawiść. Dyrektor Stoma wzbił się pono nad środowisko. Materjalnie.

Po pierwszym liście z Bydgoszczy zmartwili się jakoby łaskawi Czytelnicy, że nasze stanowisko w sprawie Teatru było niezdecydowane. Czy naprawdę? Rekapitulujemy więc: Chcemy dobrego teatru. Dyr. Stoma jest w stanie go dać. Czy kto inny też — nie wiemy. Ale trzeba stworzyć odpowiednie warunki. Tylko do tych rzeczy wypada podchodzić inteligentnie. Teatr amatorski w trzytysięcznej mieścinie a poważna placówka kulturalna — to różnica. O tem należy pamiętać.

I jeszcze o teatrze. Tym razem z innej strony. Trochę z repertuaru. Twórczość bydgoska miała głos. Sztuka Norberta Jezierskiego p. t. „Zdobywca" zdobyła dla autora uznanie. Debiut bezwzględnie ciekawy. Dużo tam naiwności w konstrukcji, przestarzałych scenek i gierek, które wprawna ręka fachowcą powinna skreślić. Ale problem dramatyczny i oryginalny, naszkicowany mocno. I dużo poczucia ekspresji scenicznej. Zakończenie drugiego aktu naprzykład naprawdę zrobiło wrażenie. Jezierski ma przyszłość. Tylko musi się zrównoważyć. Trochę ładu i kontroli zawsze się przyda.

Nie można tu nie podkreślić, że rolę tytułową w „Zdobywcy" odtworzył, a raczej stworzył Kazimierz Wilam wski — aktor dużej miary. Autor powinien mu być wdzięczny. Jest to jednocześnie pochwała dla dyrektora Stomy. Mamy zawsze w stosunku do niego poważne zastrzeżenia, ale trzeba zauważyć jego częstokroć szczęśliwą ręką w dobieraniu młodych sił. Wilamowskiego wziął już z „marką" z Reduty. O Wilińskiej wspominaliśmy. Teraz jeszcze kilka „rewelacyj". Śpiewaczka, niezwykłe robiąca postępy aktorskie, Marja Kaupe, której karjera zapowiada i realizuje się naprawdę pięknie. Jadwiga Gosławska podbijająca Bydgoszcz wdziękiem i talentem. Kaczmarski, Tatarkiewicz — bardzo zdolni. To byłyby pozycje najważniejsze, które podkreślają zasługi dyr. Stomy dla wychowania młodego pokolenia aktorskiego.

Teatr Miejski zajmuje w naszej kronice dużo miejsca. Jest to bowiem placówka najbardziej ogół interesująca. Dalsze od życia i za mało popularne jest Muzeum Miejskie. A szkoda. Pracuje rzetelnie i robi przeważnie, co może Poprzednia wystawa nam się nie podobała. Trudno, ale to była impreza raczej familijna. Obecnie nagrodził nam to prof. Stanisław Czajkowski. Pejzażysta ze szkoły Stanisławskiego. Wystawa imponuje. Oby imponowała jak największej ilości Bydgoszczan. Wartoby ich rozruszać. Teoretycznie zajmuje się tem Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. W praktyce, mimo dobrych chęci niektórych członków, instytucja boi się, żeby nie była zbyt znana. Gdy pod firmą Towarzystwa urządzono niezwykle udały „Żywy Dziennik", na walnem zebraniu nie omieszkano kompetentnie oświadczyć, że to była karygodna wybujałość. Na szczęście walne zebranie nie przychyliło się do tej opinji. Było nawet wręcz odmiennego zdania. W każdym razie dobry znak.

Oby takich znaków było na bydgoskim horyzoncie kulturalnym jak najwięcej. Nasz grunt trzeba dokładnie przeorać. A wtedy i plony będą piękne.

H. B. Trzecieski.

P. S. Podobno pierwszy nasz list z Bydgoszczy był zbyt pesymistyczny, beznadziejny, a nawet obrażający miasto, z różnych względów zasługujące na podziw i miłość. My je też kochamy. I dlatego chcemy, żeby było inne. I będzie napewno. Trzeba tylko wyrwać chwast zacofaństwa i ciemnoty. A że rwiemy bez znieczulania, więc to wygląda czasami brutalnie.

A. SZYPERSKI:

WIELKOPOLSKA PIEŚŃ LUDOWA

(Ciąg dalszy)

ŚLICZNE GWOŹDZIKI

Śliczne gwoździki, piękne tulipany
gdzieżeś ach gdzieżeś Jasiu mój kochany?
Czyli cię wzięli, pognali za morze,
czy cię me serce utulić nie może?
Astrologowie, co gwiazdy liczycie,
czy wy o moim Jasienku nie wiecie?
Może wpadł w niemoc, może biedę znosi?
może zaboczył o swej małej Zosi?
Ach serce, serce cóż mi za radość dasz!
kogom kochała, niemasz już go niemasz!
Ach niemasz, niemasz i pewno nie będzie,
któż mnie sierotę rozweselać będzie?

NAD WODĄ W WIECZORNEJ PORZE

Nad wodą w wieczornej porze
za gąskami dziewczyna chodziła,
śliczna jak zorza
tak swe gąski wabiła:
Pójdźcie, pójdźcie gąski moje,
pójdźcie do domu,
opowiem wam troski moje,
nie powiedzcie nikomu:
Czy to zniesie moja dusza,
żebym temu sprzyjała,
który mnie właśnie przymusza,
żebym jego kochała.
Pójdźcie itd.
Jam się w wolności rodziła,
choć nie znałam mej matki,
temu sprzyjam, komu miło,
nie zwabią mnie dostatki.
Pójdźcie itd.
I tak chodząc za gąskami
rzewnie się rozpłakała,
mając twarz zalaną łzami
na swe gąski wołała:
pójdźcie, pójdźcie gąski moje itd.

WCZORAJ DESZCZ PADAŁ

Wczoraj deszcz padał
jutro pogoda,
ta moja miła
szła do ogroda.
A w tym ogrodzie
biała lilija,
ta moja miła
wianka dowiła.
Uwija, uwija
aż mi go nieda,
bo wkoło siebie
wiele chłopców ma.
A wy chłopcowie
wyjscie zdrajcowie,
skradliście wianek
miałam na głowie.
Nikt ci go nie wziął
jak ten Stasinek,
bo ci obiecał
złoty pierścionek.
Pierścionek obiecał
wianek mi stracił,
a jeszcze mi go
dziś nie zapłacił.
Zapłaci ci go
sam Pan Bóg z nieba
gdy będzie ci go
do ślubu trzeba.
Do ślubu jechała
wianka nie miała
zielone wstążki
z głowy targała.
Ej stążki, stążki
wstążki zielone,
to moje serce
dziś zasmucone.

(z pod Borku)

REGENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Kronika Gostyńska

Tom III. str. 194. Rok 1931-32.

Pożyteczne to pismo regionalne rozwija się coraz pomyślniej i może służyć za wzór innym ziemiom. Tom trzeci obejmuje działy naukowe: literaturę, historję, sztukę, heraldykę, etnologję i dzieje kultury. Wszędzie tu cenne przyczynki, oczywiście mniej lub więcej naukowo opracowane. Za najcenniejszą pracę w tym roczniku uważamy rozprawkę ks. Ostrowskiego o Mickiewiczu w Wielkopolsce 1831 32. Rzecz ta zareklamowała najlepiej Kronikę Gostyńską, chociaż jednocześnie przekroczyła mocno ramy programowe pisma. To jest praca, która obchodzi całą Wielkopolskę, a nawet całą Polskę; mniemamy, że autor będzie dociekania kontynuował i ostateczne wyniki ogłosi w fachowem piśmie naukowo-literackiem. Wartościowe są prace: Gumowskiego o pieczęci i herbie gostyńskim, Szulca o tkaczach i folusznikach średniowiecznych oraz o przywileju cechu szewskiego w Krobi, ciekawe ks. Tabora o cudownym obrazie świętogórskim, podobnaż praca ks Sobkowskiego i ks. Szymańskiego o kulcie N. Marji Panny w dawnym Gostyniu; o wielkiej ruchliwości i pracowitości szperacza świadczą wysiłki red. Stachowskiego. Wesele biskupiańskie i pieśni ludowe podane przez Szyperskiego wprowadzają pewną nowość do Kroniki: ludoznawstwo, dotąd mało uwzględniane w czasopiśmie. Warto opisywać zwyczaje i obyczaje, notować przysłowia, przesądy i wierzenia ludowe, przezwiska, rzadkie wyrazy itd. Nic jeszcze nie wiemy o gwarze gostyńskiej i nazwiskach ludowych itd. Język Wojciechowskiego jest mało charakterystyczny, to już „literat" ludowy, któremu na tułaczce dziwnie się mowa poplątała. Pisze dość niejednolicie, a wydawcy jeszcze go psują. (Idzie o język, nie o ortografję!) Nadmieńmy, że Wojciechowskiego życiorys posiada także ujemne strony (dodatnie wszyscy znamy, wiemy też co się Boyowi podoba). Jest w nim — zwłaszcza w pierwszych rozdziałach — dużo blagi, przesady i fanfaronady. Dyskutowaliśmy nieraz na ten temat z tamtejszymi (z pod Gostynia) chłopami, robotnikami i ziemianami, szczerymi demokratami. Życiorys jest w dużej mierze prawdą i zmyśleniem, literacką robotą człowieka... niewykształconego. Myślimy głównie o uwagach „społecznych" Wojciechowskiego. Niemcy go zepsuły (tak jak dziś Boy et consortes: poczciwy chłop wielkopolski dał się nabrać!). — Są też w Kronice Gostyńskiej prace efektowne, ale naukowo chybione jak np. dr. Krotoskiego Początki Gostynia. Bardzo czynnym współpracownikiem czasopisma jest znany regionalista St. Helsztyński, autor kopy sonetów. Pomówimy o nich osobno. Przyjemnie czyta się prace Zofji Miszewskiej. — Pismo jest ilustrowane. Oby tych ilustracyj było w przyszłości jak najwięcej, bo one w badaniach regionalnych odgrywają pierwszorzędną rolę. Kronika reprezentuje godnie swój region, tak ciekawy i bogaty w poznania godną przeszłość! A. S.

Stanisław Czernik:

Rozwój ludności m. Ostrzeszowa w ostatnim stuleciu

Ostrzeszów 1931.

Małe to studjum 28-stronicowe jest rozdziałem historji miasta Ostrzeszowa (napisanej, czy pisanej?), jako typowego ośrodka małomiejskiego w Wielkopolsce i obejmuje okres jego rozwoju w w. XIX. (ściślej lata od r. 1816—1921).

Autor bierze z wydawnictw urzędowych pruskich cyfry, pochodzące ze spisów ludności dokonywanych perjodycznie i rozpatruje „metodą statystyczną" ich wzajemny stosunek i zmiany, mówiące same o rozwoju czy cofaniu się miasta pod względem ludnościowym. Samo miasto Ostrzeszów stawia na szerokiem tle porównawczem, w związku z rozwojem innych miast wielkopolskich i zadaje sobie trud obliczenia każdorazowego stosunku ludności badanego miasta do miast sąsiednich oraz procentowego udziału w tej liczbie wyznań i narodowości.

Z cyfr tych okazuje się, że m. Ostrzeszów jest jednem z normalnie rozwijających się pod względem liczby swej ludności miast wielkopolskich, te same przechodzi koleje im- i emigracji (również żydowskiej) z końcem w. XIX., że nawet tempem swego rozwoju nad sąsiadami przeważa (szczeg. nad Kępnem, w stosunku do którego znać u autora pewne nastawienie „konkurencyjne"!). Jedna uwaga! Dwa razy autor używa wyrażenia: b. W. Ks. Poznańskie, dodatek ten „byłe" nie jest potrzebny, bo wszakżeż w historji niema rzeczy „byłych"; one w niej istnieją zawsze już jako zjawiska, jako rzeczy żywe, chociaż w krainie cieniów.

Rozprawka jest na tej niwie pozycją godną uwagi i zanotowania! St. Pomykaj.

Jabób Kania:

Wiersze Śląskie

1932 Druk: Labor Poznań, str. 64

Jest to zbiorek wierszy regjonalnych ze Śląska Opolskiego. Jakób Kania to jeden z pionierów ruchu narodowego polskiego na ziemi śląskiej, odłączonej od macierzy. Wiersze o charakterze wybitnie ludowym są wyrazem budzącego się coraz wyraźniej ducha polskości po tamtej stronie kordonu. Cały nakład idzie dla propagandy na Śląsk Opolski. Przedmowę do tego zbioru wierszy napisał prof. A. Szyperski ze Środy.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05. „WICI" otrzymywać można we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy. W KSIĘGARNIACH: Poznań, Jan Jachowski, Księg. Uniw. — Bydgoszcz, Idzikowski — Kraków, D. E. Friedlein — Gdynia, M. Niemierkiewicz — Gniezno, J. B. Lange — Inowrocław, St. Knast — Ostrów, Mieloszyński, w Środzie Księgarnia Rogalska Administracja Nowej Gazety. ∞ REDAKCJA: Poznań, Chwaliszewo 15/16 3 p. pr., Przedstawiciel redakcji przyjmuje w poniedziałki i czwartki od g. 4—5 (Plac Wolności 10 m. 13). Bydgoszcz ul. T. Kościuszki 18 m. 8. Września Sekretarjat Redakcji i Administracji ul. Poznańska 6. Konto P. K. O. Poznań 200.057. — Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni.